

Niech Jankesi spadają!

20 września 2008

„Dziś w Boliwii i Ameryce Łacińskiej ludzie nie podnoszą już broni przeciwko imperializmowi, ale imperializm podnosi broń przeciwko ludziom, czego przykładem są interwencje militarne.”
Evo Morales, 2005.

Stało się. Boliwia i Wenezuela powiedziały „dość” kolejnym zbrodniczym prowokacjom Stanów Zjednoczonych. Stało się tak po tym, gdy w Boliwii znów połała się krew. Wbrew temu, co będą opowiadać „wolne media” – nie z winy złowrogich rewolucjonistów, a z racji drapieżczej ofensywy miejscowej oligarchii. Jak też w imię międzynarodowych interesów imperialistycznych i rozpasanej żądzy władzy tych, którzy już dzierżą jej w skali świata więcej niż ktokolwiek przed nimi, lecz zarazem bezustannie drżą, że niedługo – całkiem zasłużenie – trafią z łoskotem na śmietnik historii.

GRINGOS PAKUJĄ WALIZKI

11 września boliwijski minister spraw zagranicznych przekazał ambasadorowi USA w Boliwii Philipowi Goldbergowi pismo od prezydenta Evo Moralesa, zgodnie z którym ów przedstawiciel jedyne supermocarstwa został uznany za persona non grata. Goldberg, który dał się poznać z kreciej roboty w Kosowie, tuż przed ostatnimi krwawymi wydarzeniami kontaktował się z przedstawicielami opozycji.

W kręgu Białego Domu z miejsca wszczęto lament nad jakoby bezpodstawną decyzją, która utrudni zwalczanie handlu narkotykami i na inne sposoby zaszkodzi interesom obydwu krajów. Biedna Boliwia – przypominano jakże rozważnie – eksportuje do Stanów tekstylia i inne dobra.

A tu jeszcze większy szpas. Zaraz potem Patrick Duddy, ambasador USA w Wenezueli, również słyszy, że ma 72 godziny, by zwiewać, gdzie pieprz rośnie! Prezydent Hugo Chávez

stwierdza – nie po raz pierwszy – że Wenezuela może zakręcić kurek z ropą płynącą do USA. Odwołuje też wenezuelskiego ambasadora ze Stanów – na moment przed tym, jak ten słyszy, że jest niemiłe widziany, od oficjalnych czynników w Waszyngtonie. Stosunki między USA a Wenezuelą, od dawna napięte, chyba jeszcze nigdy nie były tak złe.

Chávez nie kryje, że to wszystko w geście solidarności z niepokorną Boliwią oraz jej prezydentem – jego bliskim politycznym partnerem i człowiekiem, który nie bał się zwyciężyć wbrew woli Wielkiego Brata i boliwijskich klas wyższych. W niedawnym referendum, oznaczającym być albo nie być dla jego dalszej obecności na urzędzie, Morales został poparty przez 68 proc. głosujących.

„Nie chcemy tu ludzi, którzy spiskują przeciw demokracji” – stwierdza Morales, zaś Chávez wtóruje mu nieco mniej delikatnie: „USA maczają palce w planach przeciwko Boliwii, wspierając terroryzm. Jesteśmy oddani wolności – niech idą w cholerę, ci gówniani Jankesi, niech po stokroć idą w cholerę!” Już 28 maja 2006 r., podczas wizyty w Boliwii, stwierdził: „Amerykańska ambasada w Boliwii próbuje obrócić armię tego kraju przeciwko rządowi Evo Moralesa. Gringo, jedźcie do domu.” Później deklarował gotowość do walki w Boliwii tak jak w Wietnamie, jeśli obca interwencja doprowadzi do śmierci bądź obalenia Moralesa.

Tymczasem za obecne poparcie dziękuje Chavezowi ambasador Boliwii w Wenezueli, Alvarado Rivas, stwierdzając też, że boliwijska oligarchia wraz z Białym Domem „stworzyła mit, że nie możemy oprzeć się imperium, gdyż wszczęcie przeciw niemu buntu równoznaczne jest ze śmiercią kraju i narodu.”

Poparcie dla Wenezueli wyrażają Honduras, Nikaragua, Ekwador, wreszcie „kolos południa”, Brazylia, dotąd wielokrotnie oskarżana o prowadzenie w pseudolewicowych szatach polityki poparcia dla imperializmu. Słyszemy stamtąd, że nie ma mowy o tolerancji dla zakłócania „instytucjonalnego porządku w

Boliwii”.

JAK TO SIĘ STAŁO?

W środę 10 września, późnym wieczorem, w wenezuelskim programie telewizyjnym „La Hojilla” (Ostrze brzytwy), ujawniono kulisy planów przewrotu wojskowego, które knuli wymienieni z imienia, nazwiska i stopnia wojskowego oficerowie – Carlos Alberto Millan, Wilfredo Barroso Herrera oraz uczestnik puczu z kwietnia 2002 r., Eduardo Baez Torrealba.

Ich narady, jak zdobyć prezydencki pałac Miraflores i kto tam może im być przychylny, jak zestrzelić bądź przechwycić samolot z Chavezem na pokładzie, itd., itp., zostały nagrane. Wedle Mario Silvy, członka rządzącej Zjednoczonej Socjalistycznej Partii Wenezueli i kandydata na gubernatora prowincji Carabobo, spiskowcy mają być powiązani z Raulem Baduelem, byłym ministrem obrony, który pod koniec 2007 r. wystąpił politycznie przeciwko Chavezowi.

Prezydent Wenezueli mówił przed kamerami o „najbardziej radykalnych, faszystowskich ruchach”, rozpracowanych już dawno przez wenezuelskie służby specjalne, o kolejnych udaremnionych spiskach oraz zakrzyknął, że w razie puczu „kontrapucz zwycięży przytłaczająco”. Przypomniał, że administracja Busha inspirowała i wspierała próbę jego obalenia w 2002 r. – stał się wówczas najszybciej w historii przywróconą na urząd głową państwa. Stwierdził też, że tego rodzaju zgrywy bynajmniej nie wywietrzały z głów prawicowej opozycji.

Wtórzuje mu wenezuelski minister spraw zagranicznych, Nicolas Maduro: „Wzywamy rządy na kontynencie i na całym świecie: powstańmy, potępmy i międzynarodowo odrzućmy te chore, zbrodnicze plany wenezuelskiej skrajnej prawicy, w których maczają też palce ważne czynniki, związane z rządem USA.”

Naprawdę gorąco miało się jednak dopiero zrobić, a najważniejsze sceny dramatu rozegrały się gdzie indziej...

NAPRZÓD, ZAWSZE NAPRZÓD – KTÓRĘDY?

W Boliwii, w której 18 grudnia 2005 r. Juan Evo Morales Ayma, reprezentujący Ruch Na Rzecz Socjalizmu, jako pierwszy rdzenny Amerykanin w historii kraju wygrał wybory prezydenckie, również nie brak sił, szemrzących o puczu w imię „świętego prawa własności”, białej supremacji i poddania się z powrotem hegemonii USA.

Morales od początku spotykał się z wściekłą prawicową opozycją – wobec nacjonalizacji ropy i gazu, wdrożenia programów socjalnych, działań na rzecz dyskryminowanej od 500 lat rdzennej ludności, czy bliskich związków z Wenezuelą i Kubą nie mogło być inaczej.

W czterech najbogatszych prowincjach Boliwii klasy wyższe (w przeważającej części biali burżuje i latyfundiści) inspirowały wystąpienia na rzecz autonomii, uznane przez rząd boliwijski za de facto wystąpienia secesjonistyczne. Morales nie uznał wyników majowego referendum na rzecz zwiększenia autonomii, przeprowadzonego w posiadającej olbrzymie zasoby ropy, gazu, rud żelaza, obfitującej w obszary leśne i rolne Santa Cruz, pogardliwie nazywając ów plebiscyt „jedynie sondażem”. Następnie odmówił uznania referendum w kolejnych prowincjach.

Najwyraźniej słusznie, skoro niedługo potem ponad dwie trzecie głosujących – nade wszystko proletariat i chłopstwo, czyli głównie rdzenna ludność – udzieliło mu poparcia w referendum odwoławczym. W podobnym referendum w 2004 r. zwyciężył jego towarzysz walki i przyjaciel, Chávez, zdobywając 59 proc. głosów. On też poznał metody tych, którzy pragnęliby powrotu prawicowych rządów silnej ręki: pucz, kolejne sabotaże ekonomiczne ze strony wielkiej burżuazji, prowadzona przy wsparciu Waszyngtonu międzynarodowa nagonka, itd. – nawet podobne „autonomistyczne” ruchy w prowincji Zulia, gdzie gubernatorem jest jego główny rywal w ostatnich wyborach prezydenckich, Manuel Rosales. I dzięki tym doświadczeniom, może bardziej niż dzięki lekturze Lenina i Trockiego,

prezydent Wenezueli wie, że rewolucja posuwa się naprzód – albo się cofa.

Niedługo po triumfie referendalnym Morales idzie krokami siedmiomilowymi ku nowemu referendum – referendum konstytucyjnemu. Tymczasem oligarchia i jej psy łańcuchowe – w tym otwarcie faszystowskie bojówki Związku Młodzieży Santa Cruz (UJC) – nie zasypują gruszek w popiele. Tym bardziej, gdy się pamięta, że pojęcie dobrodusznego Moralesa na temat tego, kim winien być „dobry rewolucjonista”, nazbyt często przypomina to, jakie miał Salvador Allende.

CO DALEJ?

Wbrew postulatom najbardziej świadomych i bojowych segmentów ruchu robotniczego – w tym dzielnych górniczych związków zawodowych – rząd nie przerywa negocjacji z czołowymi przedstawicielami klas wyższych, nawet gdy te ewidentnie śmieją się mu w nos. Gubernator Santa Cruz – który, jakby nie dość spiętrzenia sprzeczności, tego samego dnia co Morales przetrwał referendum odwoławcze – nazywa prezydenta Boliwii „kryminalistą” oraz jawnie mówi o budowaniu własnych sił policyjnych i dążeniu do secesji, a siły „demokratycznej opozycji”, czyli często czarnej reakcji, cechuje coraz większe rozbestwienie. Niedawno pozwoliły sobie na blokadę lotniska w celu uniemożliwienia wizyty w Boliwii Chavezowi. Sabotaż odniósł zamierzony skutek.

Odpowiedź ekipy Moralesa – dalsze nawiązywanie do „dialogu społecznego” – przyniosła oczywiste rezultaty. Opozycja, uznając owe gesty za wyraz słabości prezydenta i rządu, nasiliła przemoc. Uzbrojone i wyposażone w jeepy bojówki UJC w starciu z nieuzbrojonym ludem doprowadziły 11 września do śmierci 9 osób. Kolejnych 50 zostało rannych. Morales i jego otoczenie ciągle tymczasem... apelują o spokój i rozwagę. Z pewnością wzruszy to faszystów.

Bojówki prawicowej opozycji zajmują w kolejnych miastach

budynki należące do administracji rządowej. Zyskują wsparcie części armii. Siły prorządowe nie podejmują oporu. Część budynków zostaje odzyskana w toku... negocjacji z prawicowymi bandytami!

Już wcześniej w zamieszkach w Boliwii ginęli ludzie; dochodziło do takich aktów przemocy, jak próba wysadzenia ambasady Wenezueli w 2007 r. Ale wedle Heinza Dietericha, zajmującego się problemami Ameryki łacińskiej, teraz właśnie obserwujemy, jak nadchodzi „decydująca bitwa przeciwko doktrynie Monroe” (prezydent USA w latach 1817-1825), którą można streścić jako doktrynę ograniczonej suwerenności Ameryki łacińskiej. Marzenie Moralesa o pokojowej rewolucji jest oczywiście piękne; oby jednak życie marzeniami nie okazało się w obecnej sytuacji równoznaczne z politycznym i fizycznym samobójstwem nie tylko samego Moralesa, lecz całego ruchu, który on uosabia!

Dieterich przypomina ostatnie imperialistyczne posunięcia USA (i Izraela): wywołanie widma wojny z Rosją; samowolka armii Stanów Zjednoczonych w Pakistanie; szkolenie żołnierzy gruzińskich przez Waszyngton i Tel Awiw oraz zielone światło dla Gruzji w kwestii awantury w Osetii Południowej; wysłanie na wody Morza Czarnego okrętów z bronią nuklearną na pokładzie; usiłowanie obalenia rządu w Iranie; wreszcie inspirowany i wsparty przez Waszyngton pucz w Wenezueli w kwietniu 2002 r.

W tym kontekście nie dziwi militaryzacja Wenezueli, a nawet wspólne rosyjsko-wenezuelskie manewry wojskowe. Nie dziwi też, że z USA słychać oficjalne głosy o „bezpodstawnym” odwołaniu ambasadorów – choć ich oczywistość wcale nie przydaje im choćby cienia wiarygodności. Również dlatego – tak się złożyło – że 11 września to rocznica śmierci Salvadora Allende.

Autor: Paweł Michał Bartolik

Źródło: [Trybuna Robotnicza](#)